



MARK  
**HELPRIN**

---

**PAMIĘTNIK  
Z MRÓWKOSZCZELNEJ  
KASETY**



MARK  
**HELPRIN**

---

**PAMIĘTNIK  
Z MRÓWKOSZCZELNEJ  
KASETY**

tłumaczenie Maciej Płaza

WYDAWNICTWO  
**otwarte**  
KRAKÓW 2014

Tytuł oryginału: *Memoir from Antproof Case*

MEMOIR FROM ANTPROOF CASE by Mark Helprin. Copyright © 1995  
by Mark Helprin. By arrangement with the author. All rights reserved

Copyright © for the translation by Maciej Plaza

Opieka redakcyjna: Joanna Stryczyk, Katarzyna Kolowca-Chmura

Opracowanie typograficzne książki: Daniel Malak

Adiustacja: Anna Brynkus-Weber / d2d.pl

Korekta: Anna Woś / d2d.pl,  
Agnieszka Rymarowicz / d2d.pl

Łamanie: Zuzanna Szatanik / d2d.pl

Projekt okładki: Aleksandra Szmak, Eliza Luty

Wybór fotografii na wyklejki: Eliza Luty

Fotografia na okładce: © PM / Photonica World / Getty Images

Fotografie na wyklejkach: Rio de Janeiro – © Cameron Davidson / Corbis,  
Copacabana (1950 r.) – © K. Hutton / Hulton-Deutsch Collection / Corbis

Fotografia autora: © Mark Helprin

ISBN 978-83-7515-323-1

WYDAWNICTWO

**otwarte**

**www.otwarte.eu**

---

Zamówienia: Dział Handlowy, ul. Kościuszki 37, 30-105 Kraków,  
tel. (12) 61 99 569

Zapraszamy do księgarni internetowej Wydawnictwa Znak,  
w której można kupić książki Wydawnictwa Otwartego: [www.znak.com.pl](http://www.znak.com.pl)

---

*Dla Juana Valdeza*

„Nieprostą drogą do prostych rozwiązań”.  
*Hamlet*, akt II, scena 1, tłum. Stanisław Barańczak



## **PROTESTUJĘ PRZECIWKO SEKSUALNOŚCI BRAZYLIJCZYKÓW**

Mówcie mi Oscar Progresso. Zresztą mówcie mi, jak chcecie, wcale nie nazywam się Oscar Progresso. Ani też Wacusi Podnózek, Euclid Pychotta, Franklyn Chubeck czy jakie tam jeszcze nazwiska zmuszony byłem z biegiem lat przybierać. Minęło tyle czasu, że nikt już nie zna mojego prawdziwego nazwiska. A wszystko, co sam kiedyś znałem, jest jak statek lśniący w ciemności: odpływa sobie w dal, pozostawiając mnie w przytulnej ciszy. Mój czas dobiega końca, postanowiłem więc, że po raz ostatni pokażę, co potrafię.

No i proszę, oto macie w rękach kronikę mojej porażki i izolacji opowiedzianą poprzez zwycięstwo oraz kronikę moich zwycięstw opowiedzianą poprzez porażkę i izolację – czyli tak naprawdę kronikę samotności. Moje życie nie było proste, ale panuję nad opowieścią.

Wy pewnie nie jesteście nawet w połowie takimi dziwolągami jak ja, ale jeśli porzucicie swoje próżnostki i złudzenia, swoje błahe zaszczyty, których tak kurczowo się trzymacie i które was definiują, swoje abstrakcyjne i bezduszne

pieniądze trzymane na kontach, swoje fałszywe teorie i daremne triumfy, cóż wam zostanie prócz ciała – które, nawet jeśli na razie jesteście zdrowi jak byki, prędzej czy później wypowie wam wojnę i w końcu zostanie tylko pamięć i żal?

Możecie sobie biegać w poczwórnych maratonach i stawać na jednej ręce, wystarczy mgnienie oka i proszę, już kuśtykacie jak owad na wpół zmiążdżony przez koło ciężarówki. Właśnie tak wyglądam: ledwie powłóczęc nogami, codziennie wdrapuję się tysiąc stóp nad poziom morza, w najwyższej położone zakątki Parque da Cidade, ukryte w chmurach zielone platformy z widokiem na morze.

Mieszkańcy Niterói znają mnie właśnie jako starca, który wdrapuje się na wzgórze – i mają rację. Przyjechałem tu po to, by móc czuć morską bryzę i wyobrazić sobie choć przez chwilę, że stoję na zimnych wzgórzach mojego dzieciństwa, gdzie arktyczne wichry wyciskały mi łzy z oczu, widzących idealnie na dwieście mil. Było to nad rzeką Hudson, w północnej części stanu Nowy Jork, surowej, śnieżnej krainie. Moja równowaga psychiczna od samego początku uzależniona była od forsownych spacerów, pozwalały mi one skupić się na krajobrazie i zapomnieć o sobie. Teraz wspinam się na wzgórze, by popatrzeć na Rio, to wspaniałe ludzkie rojowisko po drugiej stronie zatoki, i wspominać swoje życie.

Obie części mojego życia, północna i południowa, gorąca i zimna, wydają się względem siebie idealnie równoważne, a zarazem zupełnie do siebie nie pasują. Często nachodzi mnie pytanie, o co właściwie tak usilnie walczyłem, skoro skończyłem w takim miejscu – myślę jednak, że walka jest czymś odruchowym i nagradza nas po swojemu. Nawet teraz, ilekroć stoczę walkę ze stromym wzgórzem, czuję, jak po czole gładzi mnie błogi spokój.

Czy wiecie, że plemnik w chwili wytrysku przemieszcza się z prędkością ośmiu tysięcy swoich długości na sekundę? To tak, jakby mnie albo was splukano w klozecie z szybkością

trzydziestu czterech tysięcy mil na godzinę. Możliwe, że właśnie z tego pierwotnego szoku wzięło się napomnienie: „nie wchodzić łagodnie do tej łagodnej nocy...”, ponieważ według praw fizyki ciecz przepływająca przez rurę robi to z niejednolitą prędkością, w centrum przemieszcza się szybciej niż na obrzeżach. Powstaje wówczas siła uderzeniowa zdolna rozedrzeć komórki na strzępy. Tymczasem krągłe jajo siedzi niewzruszone jak ptak altannik, czeka z zamkniętymi oczyma, aż ogłupiały od szybkości plemnik zapuka do drzwi.

Walka zaczyna się już u zarania, a nawet wcześniej. Gdy zaś ludzkie ciało pozostaje w spoczynku, życie w jego wnętrzu przypomina jaszczurkę, która tylko czeka, by wyrzucić z siebie długi język i schwytać przelatującą muchę. Nawet kiedy nic nie robimy, napelniają się zbiorniki, następują eksplozje, układane są plany, w mózgu otwierają się lokale taneczne. Nawet księża, choć starają się okiełznać swoje ciała, poddani są działaniu tej siły – popycha ich do poczynań bardziej wy rafinowanych, lecz nie mniej ekstatycznych niż te, których się wyrzekli.

Po części właśnie dlatego przeprowadziłem się do Niterói, ale tylko po części. Drugi powód jest taki, że istnieje mniejsze prawdopodobieństwo, iż mnie tu znajdą i zabiją. Rozwazałem to gruntownie przez wiele lat i już dawno doszedłem do wniosku – a może po prostu wpadło mi to przypadkiem do głowy – że moje życie może się skończyć w każdej chwili, choćby na którychś z wielu stromych schodów w Santa Teresa, po postrzale w ramię z małokalibrowego pistoletu.

Dokoła ani żywej duszy. Strzał z miniaturowego pistoletu wybrzmiał jak odpalenie petardy lub kasznięcie motocyklowego gaźnika.

- Nie skrzywdzicie Marlise, prawda? – pytam.

Mordercy śledzili mnie, wiedzą wszystko.

- Marlise, czyli...?

- Tej młodej dziewczyny o rudawych włosach.

– Ale nie naprawdę rudej, tak jak te irlandzkie zdziury? –  
rzuca jeden z nich.

– Nie. To karioka. Jej włosy mają raczej kolor gliny.

– Kto to jest karioka? – pyta morderca pochodzący z Jersey  
City.

– Ktoś, kto jest stąd, kto mieszka w tych stronach.

– Nie zastrzeliłbym kobiety.

– Jest w ciąży.

– Z tobą?

– Nie, z kimś innym.

– To kiepsko – mówi. – Przykro mi.

Wzruszam nieuszkodzonym ramieniem. Nagle rozlega się  
ryk syreny policyjnej, gdzieś bardzo daleko, ale to wystarcza,  
by mordercy wzięli nogi za pas.

Zawodowi zabójcy preferują maleńkie pistolety kalibru 12,  
używane do polowań na chomiki. Ale kto wie? Mogliby też  
mieć automat kalibru 44 magnum. Widziałem taki w skle-  
pie z bronią w São Paulo, gdy kupowałem sobie pistolet  
Walther P-88. Ten walther jest bardzo ciężki. Od noszenia go  
boli mnie kręgosłup – mięśnie napinają mi się z jednej strony,  
próbując zrównoważyć ciężar. Musiałem przekupić kilka osób,  
żeby go dostać, a ponieważ w ekspresowym tempie wzrasta  
przestępczość pospolita, nigdy się z nim nie rozstaję. Jestem  
już za stary, by znów być ranny, choćby nawet wskutek po-  
strzału z pistoletu na chomiki, jeżeli więc się pojawią i zastaną  
mnie żywego, pozabijam ich.

Przeprowadziłem się do Niterói po trosze właśnie dlatego,  
że jeśli mnie nie znajdą, to do mnie nie strzelą, a jeśli do mnie  
nie strzelą, ja też nie będę musiał strzelać do nich. Zapłaciłem  
dwudziestu osobom – ulicznemu gazeciarzowi, mojemu by-  
łemu fryzjerowi, mojemu gospodarzowi, a nawet policji – by  
w razie czego mówili, że nie żyję. Jedyne problemy to akademie  
marynarki wojennej, gdzie pojawiają się trzy razy w tygodniu.  
Dojeżdżam tam wprawdzie przez zatokę i przychodzę zawsze

z nietypowej strony, ale ryzyko pozostaje. Mieszkam tu już tak długo, że jeśli ktoś naprawdę będzie chciał mnie znaleźć, to mnie znajdzie.

Mógłbym się przenieść w głąb lądu lub do innego miasta na wybrzeżu. Ukrywając się i płacąc łapówki, zdołałbym się skutecznie zaszyć w którymś z cichych miast Urugwaju. Tyle że wtedy straciłbym dostęp do wielu rzeczy, które trzymają mnie przy życiu. Czyli, według rosnącej ważności: miasta, akademii, Marlise, słodko-gorzkich wspomnień oraz Funia.

Akademia marynarki wojennej znajduje się na półwyspie, który niegdyś był wyspą, a przez krótki czas także stolicą *La France Antarctique*. Francuzi uważali, że Rio de Janeiro to *antarctique*, ponieważ świat jest tu obrócony do góry nogami. Kto nie urodził się na południe od równika, ten nigdy nie oswoi się z tutejszym położeniem geograficznym.

Akademię wypełniają młodzi kadeci w źle skrojonych marynarskich mundurach, zaprojektowanych przez cywilizację Północy. Oderwani od swoich korzeni – obróconych do góry nogami – muszą studiować taktykę, balistykę, historię morską, elektronikę, no i oczywiście język angielski, którego uczyć ich ja.

Jeśli ktoś nie jest córką brazylijskiego admirała – a pewnie nawet wówczas, gdy nią jest – może się nie domyślać, że Brazylia ma jakąś marynarkę wojenną. Teraz już o tym wiecie i pewnie zastanawiacie się, po co jej ona.

Przypomnijcie sobie mapę. Zauważcie, jak długą linię brzegową ma Brazylia. Miasta, ogromne nawet dla nas, z dalekiego, obojętnego świata, wiszą na niej jak żarówki na tarasie nadmorskiej restauracji. A teraz pomyślcie, w jaki sposób Brazylia połączona jest z resztą kontynentu. Od głównych miast Ameryki Południowej – Buenos Aires, Santiago, Caracas – odgradzają ją rzeki, dżungle, Andy i ciągnące się w bezkresną dal pustkowia. Wychodzi na to, że Brazylia jest wyspą, a wyspa musi mieć flotę.

Dlaczego? Zamiast wikłać się w skomplikowane wyjaśnienia, powiem krótko: dlatego że gospodarkę wyspy można szybko doprowadzić do ruiny, wprowadzając blokadę morską. Można więc oczekiwać, że flota brazylijska koncentruje się na walce z okrętami podwodnymi – i tak właśnie jest. Jedyne brazylijskie lotniskowce Minas Gerais (Brazylia to jeden z niewielu krajów, które mają lotniskowce) służy głównie do zwalczania celów podwodnych. Siedem okrętów podwodnych również zorientowanych jest na wykrywanie i niszczenie swoich wrogich odpowiedników. Coś wam powiem, ale nikomu o tym nie mówcie: marynarka brazylijska planuje zbudować trzy okręty podwodne o napędzie atomowym. Dzięki temu będą miały większy zasięg i lepszą wydolność na południowym Atlantyku. W tym celu uruchomiono w São Paulo próbny reaktor. To tajemnica wojskowa, podsłuchałem ją w stołówce, ale mam też dowody: wielu moich byłych studentów pracuje teraz na przykład w charakterze fizyków i elektroenergetyków i czasem dostają od nich widokówki z miejsc położonych zdecydowanie daleko od morza.

Mógłbym sprzedać tę tajemnicę Argentynie, ale jestem wdzięczny Brazylii i lojalny wobec jej floty. Zresztą i tak już za dużo miałem w życiu do czynienia z mordercami. Wolałbym nie mieć jeszcze na karku agentów brazylijskiego wywiadu, zwłaszcza że Niterói to jedno z niewielu miejsc na świecie, gdzie potrafiliby mnie znaleźć.

W skład brazylijskiej floty wchodzi też piętnaście fregat do zwalczania okrętów podwodnych i liczne jednostki desantowe i patrolowe. Flota patrolowa ma służyć do niszczenia okrętów podwodnych i odpierania innych ataków, desantowa zaś, jak mi się zdaje, do kontrataków na bazy, które nieprzyjaciel mógłby założyć na terytorium Brazylii, oraz tłumienia buntów. Do tego dochodzą liczne jednostki badawcze powołane do tworzenia map środowiska podmorskiego, które jest tu przeraźliwie skomplikowane i które ze względu na

duże rozwarstwienie termiczne i liczne prądy trzeba odwzorowywać nie jako idealnie precyzyjny obraz, lecz nieustannie zmieniającą się trójwymiarową rzeźbę. Stan floty uzupełniają statki zaopatrzenia okrętów podwodnych, zbiornikowce, barki i tym podobne jednostki.

Wszyscy moi studenci żyją w strachu, że zostaną wysłani do Mato Grosso i dołączą do dziewięćdziesięciu nieszczęśników służących na okręcie Parnaíba – „monitorze rzeczny” wybudowanym w 1937 roku, czyli w czasach tak pradawnych, że młodzi kadeci aż wzdrygają się ze zgrozy na samą wzmiankę. Nie potrafię im wyznać, że w owym roku miałem już tyle lat, ile Jezus w chwili ukrzyżowania.

Parnaíba jednak i tak błędnie przy paragwajskiej łodzi patrolowej Capitan Cabral, zbudowanej w 1907 roku, pływającej ostatnio po górnym biegu rzeki Parana. Lecz Capitan Cabral nie jest królem paragwajskiej marynarki wojennej – honor ten przypada transportowcowi rzecznemu Presidente Stroessner, zwodowanemu w 1900 roku, czyli jeszcze przed moimi narodzinami. W przeciwieństwie do mnie stracił on już wszystkie zęby, czyli pływa nieuzbrojony.

Kadeci wpadli na pomysł, żeby przejąć ten okręt inwalidę i urządzić na nim karnawał, ale natychmiast wybito im to z głowy – wszystko niechybnie skończyłoby się skandalem dyplomatycznym. Ale kto w ogóle wie, a jeśli wie, to co go obchodzi, że istnieje coś takiego jak paragwajska marynarka wojenna? Paragwaj nawet nie ma dostępu do morza. Kadeci tłumaczyli, że właśnie dlatego jest to idealny pomysł na karnawał: oddaliby w ten sposób należyty hołd ironii i absurdalności całej sprawy.

Osobiście nie znoszę karnawału, lecz wiem przynajmniej tyle, że jest to pokaz ludzkiej pokory: olbrzymia rzesza śmiertelników paraduje przed Bogiem, zawstydzona i zasnucona, odsłaniając swoje cielesne zepsucie. Jako człowiek Północy, niezbyt zresztą zainteresowany upokarzaniem się

i samobiczowaniem, gardzę tymi rytuałami, ale w przeciwieństwie do idiotów, którzy przylatują tu w poszukiwaniu łatwego seksu, wiem, że ludzie świętujący karnawał nie szukają seksualnych rozkoszy, tylko wykrzykują swoją słabość. Dla mnie jest w tym zbyt wiele pokory, chyba więc dlatego sam tego nie robię.

Kadeci są jak szczeniaczki – wydaje im się, że lubią karnawał. Widzą w nim tylko seks i taniec, bo nie mają czasu zadumać się nad znaczeniem jednego i drugiego – z kolei ja w moim wieku zarówno seksu, jak i tańca mogę doświadczać już tylko poprzez zadumę.

Ich niedoświadczone organizmy są w szoku, że muszą wstawać o piątej rano, gdy połowa Rio dopiero kładzie się spać. Szokiem jest dla nich wojskowa dyscyplina, uczenie się języków germańskich, ćwiczenia, skoki i boks, po których są cali w siniakach. Z samego rana piją kawę i przegryzają sucharem i kawałkiem sera. Potem, gdy ja przedzieram się w mroku przez tłumy hulaków wracających z Rio do Niterói, gimnastykują się. Gdy docieram na miejsce, włączam klimatyzację i biorę ich do galopu.

Każdy z nich cuchnie kawą, co niezmiennie doprowadza mnie do wściekłości. Nie rozumieją, jak złą rzeczą jest kawa, złą i potworną, ani co się z nimi stanie, jeśli będą ją pili. Wpatrują się we mnie ze zdumieniem i przerażeniem, a ja mrużę oczy i z zaciętą twarzą zaprzęgam ich do ćwiczeń umysłowych, tak forsownych, że najryzykowniejsza wspinaczka górską wygląda przy nich jak relaks na kanapie.

Marlise twierdzi, że nie powinienem w ogóle rozmawiać o kawie, wspominać o niej nawet słowem. Mówi, że i tak nie zmienię świata. Chyba ma rację: poprzedni *comandante* wziął mnie kiedyś na stronę i powiedział, że jeśli wciąż będę wspominał o kawie i groził pijącym ją instruktorom i kadetom, zostaną zwolniony. Nikt nie każe mi pić kawy – tłumaczył – ale nie mam prawa zabraniać tego innym. Zresztą

jesteśmy w Brazylii, za kogo się uważam, by zabraniać całej brazylijskiej marynarce wojennej raczenia się tak niewinną przyjemnością?

– To nie jest przyjemność – warknąłem. – To grzech. Kawa to diabelski nektar. Jest wstrętna, niezdrowa i zniewala pół świata.

Nie ciągnąłem tematu, choć mógłbym. Powstrzymałem się, bo uznałem, że to nie ma sensu, ale oczy zwęziły mi się z wściekłości, a twarz przybrała obłąkańczy wyraz, tak jak zwykle, gdy czuję woń parzonej kawy.

– Niech pan posłucha – powiedział komendant. – Jeśli nie przestaniesz pan wywracać ekspresów i rzucać się z pięściami na stewardów, brazylijska flota wymierzy w pana lufy swoich dział. Mówię poważnie. Niech pan da nam spokój.

W Niterói zamieszkałem także dlatego, że jest tu mniej kawy niż we właściwym Rio. Rzecz jasna, i tak spotyka się ją na każdym kroku, ale w Niterói jest wszystkiego mniej. Poza tym jest tu więcej otwartych przestrzeni, a zabudowa rzadsza niż na przykład w Ipanemie, nie muszę więc krążyć po mieście wymyślnymi szlakami, przelatywać co chwila z jednej strony ulicy na drugą niczym lotka do badmintonu z nadczynnością tarczycy, a niektórych tras unikać zupełnie tylko po to, by nie przechodzić obok wentylowanych na ulicę kawiarni, palarni kawy i innych spelunek, w których gromadzą się sympatycy, apologety, miłośnicy, maniacy i fanatycy tego napoju. W Niterói można się jeszcze cieszyć morską bryzą, niezakłóconą odorem olejku do opalania i kofeiny. Sądzicie, że kofeina nie śmierdzi? Spytajcie psa. Ale uwaga: tutejsze psy mówią tylko po portugalsku.

Portugalski to wspaniały język: intymny, zmysłowy i zabawny. Gdy recytuje się w nim wielką poezję, brzmi jak muzyczny zaśpiew, pełen miękkich elizji, z zatartym rytmem. Wersja codzienna, nieuleadzona, tętniąca życiem, pełna zepsucia, idealnie oddaje rozproszony charakter współczesnego

miasta. Lecz to, co portugalski zyskuje na humorze i intymności, traci na precyzji i dokładności. W porównaniu z angielszczyzną brzmi po prostu dziecinnie.

Nie zrozumcie mnie źle: uwielbiam dziecięce gaworzenie, bo uwielbiam dzieci, ale w ustach ludzi dorosłych może być irytujące, zwłaszcza jeśli słucha się go przez trzydzieści lat bez jednego dnia odpoczynku – jeśli samemu jest się człowiekiem dorosłym, w pełni ukształtowanym, przybyłym skądś, gdzie język nie jest perfumowaną poduszką, tylko napiętym łukiem, z którego zawsze można trafić ostrą strzałą w samo sedno.

Językiem moich lat chłopięcych był język lodu i stali, pieśń świata pod śniegiem. Miał mocne i piękne metrum pracujących w transie silników. Był żałośnie niezdolny do wysłowienia cielesnej ekstazy, lecz aż nadto wystarczał, by wyrazić duchowy triumf.

Na moich wykładach nie wdaję się w takie subtelności, kadeci nie są ani na tyle zaawansowani, ani zainteresowani, by robić cokolwiek nadobowiązkowego. Muszą umieć porozumieć się po angielsku na pokładzie okrętu oraz czytać literaturę techniczną i naukową ze swojej dziedziny. Nie są to wcale małe wymagania – uzmysławiam im więc, jakie możliwości tkwią w angielszczyźnie, z nadzieją, że dzięki ciężkiej pracy lub naturalnej zdolności docenią ją i nauczą się nią płynnie posługiwać.

Dla nich jest to jednak szok. Przechodzą ich dreszcze, nie znajdują pokrzepienia w swych starodawnych drewnianych krzesłach. Na zewnątrz leje się z nieba słoneczny żar lub tropikalna ulewa, a ja prowadzę ich w góry Hudson Highlands, tysiąc pięćset stóp nad poziomem morza, w zimnym mrocznym wietrze, który świszczy im w uszach, przeszywa ich do kości i zamyka im usta.

– Wy idioci! – mówię im. – Jesteście uwięzieni na najdalszym przyczółku Francji Antarktycznej, a ja jestem niedźwiedziem polarnym!

Najpierw sami zaczęli mnie tak nazywać, dopiero później to podchwyciłem. Mam białe włosy, białe wąsy, noszę białą garnitur i mam niebieskie oczy. W Rio takie stworzenia widuje się tylko w klimatyzowanej części ogrodu zoologicznego. Przyjaźnię się z pingwinami. Pingwiny nie piją kawy, podobnie jak żaden inny gatunek, nie licząc niektórych zwierząt udomowionych, które przyzwyczaili do kawy zdegenerowani właściciele – bądź dla żartu, bądź z typowej dla nałogowców potrzeby szerzenia nałogu. Wolałbym już pocałować psa niż najpiękniejszą kobietę na świecie, która pije kawę. I zrobiłem tak. Poświęciłem się, by udowodnić niezłomność swoich przekonań i oświecić grupę nałogowców – na próżno. Pocałowałem psa, oni pocałowali kobietę i poszli sobie, a pies pobiegł za nimi.

Nie jestem jedynym nauczycielem angielskiego w akademii. Drugim jest pewien Kopt z Egiptu, nazywa się Nestor B. Watoon i wygląda jak czarnoskóry Albert Einstein. Nauczył się angielskiego od Pakistańczyka w szkole językowej Berlitz w Addis Abebie.

Wiem o tym od samego Watoona. Mówi mi o wszystkim, bo jest moim niewolnikiem. Nie potrafi wykonywać swego zawodu bez nieustannej pomocy z mojej strony. Wśród studentów Watoon znany jest z tego, że dziesięć razy na godzinę wychodzi do toalety. Ilekroć wstanie zza biurka, wiadomo, że chce wyjść.

– Zaraz wrócę, przyrzekę – mówi i wybiega z sali. Oczywiście wcale nie idzie do łazienki, tylko pędzi do mojego pokoju, by mnie o coś spytać, na przykład: – Jak się mówi po mnogiemu: „oficerowie” czy „oficerzy”?

Został moim niewolnikiem z wdzięczności, bo zawsze ma mnie pod ręką – musiałem sobie tak ułożyć plan zajęć i konsultacji, by dostosować się do jego godzin pracy. Watoon zrobi wszystko, co mu każę, i tylko dzięki temu udaje mu się przetrwać. Od lat nie pije kawy. Zlecam mu różne

sprawunki. Załatwił mi lekką kamizelkę kuloodporną. Kiedy umrze, będzie mi bardzo trudno żyć. Jeśli ja umrę pierwszy, on wyląduje w przytułku.

Gdyby nie Nestor B. Watoon, kadetom brazylijskiej marynarki wojennej nawet nie przyszłoby do głowy, że „popcorn” to nazwa owocu. Nie mogliby pójść w ślady pewnego młodego porucznika, który na oficjalnym pogrzebie podszedł do oficjalnej wdowy, uklonił się ze smutkiem i powiedział: „*bon appetit!*”. Nie dowiedzieliby się, że antonimem słowa „jasny” jest „ziemny”, a w skład silnika „spaleniznowego” wchodzi „korbowzwód”.

Największym wydarzeniem w życiu Nestora był kilkudniowy rejs patrolowy po południowym Atlantyku na pokładzie amerykańskiego lotniskowca. Miałem jechać ja, ale zrezygnowałem – bałem się, że aresztują mnie po wejściu na pokład. Byłem zrozpaczony, że nie mogę wypłynąć z rodakami w morze, a potem bezbrzeżnie zażenowany, gdy marynarka brazylijska posłała zamiast mnie Nestora Watoona.

Amerykanie chyba dobrze się z nim bawili. Nie wiem, co wyczyniał, ale mogę sobie wyobrazić. Rejs trwał bardzo krótko, ale jego pokłosie jeszcze długo będzie przekleństwem dla świata, Nestor bowiem wziął ze sobą notes i nie słucha już mnie, tylko kurczowo trzyma się tego, co sobie zapisał. Ten notes stał się jego biblią, zapisane w nim frazy chyba jeszcze przez stulecia będą wybrzmiewać na wspólnych manewrach i urozmaicać kariery brazylijskich *attaché* morskich.

W świętej księdze Watoona stoi na przykład, że rosyjscy admirałowie to po angielsku „śmierdzące cipy”. O tym, że cała załoga serdecznie go przyjęła, świadczy następujący wpis: „wyraz powszechnej aprobaty: »cze, gnoju«”. A ponieważ w Brazylii wojskowi często aspirują do wysokich stanowisk politycznych, mogę sobie wyobrazić, że gdy kiedyś, wiele lat po mojej śmierci, amerykański sekretarz stanu poprosi Brazylię na przykład o obniżenie taryf celnych, otrzyma

uprzejmą odpowiedź „pocałuj mnie w dupę”. Studenci Watoona niewolniczo go naśladują, wierzą, że naprawdę uczy ich „angielszczyzny królów”. Ciekawe, których królów?

Nie mogę jednak udawać, że nie wzrusza mnie nieskalana niewinność tych młodziutkich kadetów. Są dla mnie jak synowie, których nigdy nie miałem – tak jak Funio. Kiedy im się przyglądam, często nachodzi mnie wrażenie, jakbym siedział w ciemnym kinie i oglądał film. Przede mną, niczym we śnie, paradują filmowe postacie, milczące, roześmiane lub z oczyma błyszczącymi od gniewu. W filmach zdarza się czasem, że widzimy bohaterów, lecz nie słyszymy, co mówią, jedynym komentarzem jest muzyka. Są to dla mnie momenty najbardziej poruszające, ponieważ w swym oddaleniu bywam tym postaciom bliższy, niż mógłbym być w rzeczywistym życiu. Widz ogląda film w ciemności, jak gdyby już nie żył i przypominał sobie własne życie. Jest to perspektywa jeszcze laskawsza niż starcze zobojętnienie. Gdy zmarnuje się wszystkie szanse, wyczerpie wszystkie możliwości i tylko siedzi się już samotnie w mroku i spogląda wstecz, przeżywa się życie w sposób najpełniejszy i najczystszy. Wtedy też, po fakcie, można zrozumieć, czym naprawdę jest miłość.

Moim kadetom jeszcze do tego daleko, ale z biegiem lat się wyciszą. Zatracą się w cielesnej miłości, jak Paolo i Francesca, zdawałoby się – na wieki. Będą unosić się na falach, pozorować lub odparowywać ciosy, wychowywać dzieci. Będą walczyć o swoją pomyślność, tak jak losoś walczy z prądem wezbranej zimowej rzeki. Poznają smak triumfu i porażki, nieoddzielnych od siebie, splecionych w jeden warkocz niczym życie i śmierć. Lecz na koniec zasiądą w cichym pokoju i zrozumieją, że wszystkie te pogodne dni i zażarte boje służyły tylko temu, by mogli się pogrążyć w przejmującej i tkliwej ciszy.

Z czasem jednak coraz bardziej zdumiewa mnie, że nawet gdy już doświadcza się takich chwil, gdy dusza ludzka

osiąga stan najwyższej czystości, gra i tak wciąż zaczyna się od nowa, wciąż wznawiana jest walka, wciąż biorą górę złodzenia. Nawet w takim starcu jak ja.

Codziennie przed świtem przemierzam zatokę, by stanąć naprzeciw kilku roczników dziarskich młodych chłopców, którzy nie wiedzą o świecie właściwie nic, lecz mają w sobie energię tygrysów szablozębnych. Angażuję się w te spotkania, lecz przyglądam im się z boku, jakby z zaciemnionego pokoju. Złoszczę się i wzruszam. Śmieję się i rozczulam.

U podstaw tej prostodusznej spowiedzi – choćby dlatego, że wyznaję jednak nieupiększoną prawdę – leży pewien obraz. Nie jestem pewien, co on oznacza, ale raz po raz staje mi przed oczyma. Oto w gęsto zarośniętym zakątku Jardim Botânico długą piaszczystą drogą wysadzaną niemożliwie wysokimi palmami idzie rodzina. Idzie pomału, samotnie, na poły w cieniu, na poły w osłabiającym słońcu. To nie sen, widziałem coś takiego na własne oczy. W pewnej odległości za ojcem i matką podąża chłopiec, trzy-, czteroletni, bosi, ubrany tylko w krótkie spodenki. Ciągnie za sobą plastikowy wózek na białym sznurku i wie jedynie to, co widzi przed sobą. Może to Funio, a ja jestem jego ojcem – ale nie, ten ojciec jest młody, a mnie doprowadza do rozpaczmyśli, że w chwili mej śmierci Funio będzie jeszcze dzieckiem.

Przyjechałem tu jako dorosły mężczyzna. Od dawna już nie byłem żołnierzem, od niedawna nie byłem złodziejem. Wąsy miałem blond, nie białe, i byłem silny jak małpa w nowojorskim zoo. Małpa ma to do siebie, że gdy chwyta umięśnionymi rękoma za pręty klatki i mocuje się z nimi, trzymamy za nią kciuki, nawet gdyby w razie powodzenia tych wysiłków miała odegrać się na nas. Ideały, które w młodości zaszczepili nam księża, zakonnice czy rabini, są na tyle silne, że życzymy takiej małpie wolności, uważamy, że na nią zasługuje. To, że zamknęliśmy ją w klatce, przynosi nam korzyść, lecz przecież stanowi też dość oczywiste naruszenie zasady wzajemności.

Ja jednak zdołałem się uwolnić. Uciekłem. Złamałem prawo, zawiodłem oczekiwania, naruszyłem równowagę. Miałem pięćdziesiąt lat, Marlise dwadzieścia, ale wtedy jej jeszcze nie znałem. Poznaliśmy się dopiero trzy lata później. Marlise nie miała pojęcia o świecie, ale była tak piękna, że nie musiała go mieć. Tak bardzo wpadliśmy sobie w oko, że przeskoczyła między nami olśniewająca, zapierająca dech iskra, która rozwiązała wszystkie zagadki, odpowiedziała na pytania, przyniosła nam szczęście. Poddaliśmy się sobie nawzajem, lecz prywatnie, zgodnie z rytmem istniejącym od miliona lat, a nie po to, by zaspokoić na polu polityczne wymagania, jak to często dziś bywa między mężczyznami i kobietami.

Kiedy tu przyjechałem, poczułem się tak, jakbym przebił się do innego wymiaru. Przez pierwsze lata nie czułem nawet tęsknoty za domem, bo zdawało mi się, że trafiłem do nieba. Zamiast zatracić się w iluzorycznych rozkoszach ciała, zakochałem się w dziewczynie młodszej ode mnie o trzydzieści lat i traktowałem ją z wyjątkową czułością. Wiele czasu spędzałem wtedy na skalnych zboczach w São Conrado, patrzyłem, jak fale rozbijają się o wyślizgane kamienne brzegi, czułem wiatr na twarzy i wyglądałem na ciągnącą się dalej plażę.

Cokolwiek mnie tu przywiodło, mogło być tą samą siłą, która pozwala człowiekowi stanąć oko w oko ze śmiercią. Tego, że dane mi będzie jeszcze trochę pożyć, nie uważałem za szczęśliwe zrządzenie losu – czułem raczej, że nie opuszcza mnie uporczywe brzemie. Wiedziałem, że nigdy mnie nie opuści, choćbym nawet chciał. Pozwólcie jednak, że wrócę do konkretów – nienawidzę zagłębiać się w swoje wnętrze, człowiek staje się wtedy podobny do gryzonia.

Gdy poznałem Marlise, pracowała jako kasjerka w oddziale Banco do Brasil, położonym u stóp wzgórza w dzielnicy Santa Teresa, gdzie mieszkalem w 1957 roku. Chciałem zdeponować trochę pieniędzy i skierowano mnie do okienka, które od roku było jej więzieniem. Gdy ją zobaczyłem, koperta z pieniędzmi

wypadła mi z rąk. Nie wiedziałem, co powiedzieć, wykrztusiłem więc prawdę – że ją kocham.

Marlise uznała, że jestem wariatem, sformułowała więc odpowiedź w skutecznym i obraźliwym języku, którego pracownicy banków uczą się na takie okazje.

– Marlise – powiedziałem, odczytując imię z tabliczki przykręconej przed okienkiem. – Kocham cię, Marlise. Mówię ci to prosto z mostu, bo zostało mi dwadzieścia pięć, może trzydzieści lat, przez poprzednie pięćdziesiąt byłem żołnierzem, jeńcem wojennym, Bóg wie kim jeszcze, i kochałem, i przegrałem, jak wszyscy, a teraz rozumiem, że nie mam już czasu do stracenia, podobnie jak ty, choć jesteś jeszcze młoda.

Może sprawiła to elegancka gramatyka mojej wypowiedzi, może bicie kościelnego dzwonu, które rozległo się właśnie w tej chwili – bicie dzwonu zawsze porusza w człowieku najgłębsze struny, nawet gdy stoi w kolejce do bankowego okienka – a może odpowiedni dzień lub godzina, może jej żarliwe pragnienie lub po prostu to, że mówię prawdę, w każdym razie uwierzyła mi, przyjęła moje słowa, dzwon dzwonił, ona pocałowała mnie przez kraty, kierownik wystawił szyję zza biurka jak bażant, i jeszcze tego popołudnia, w kompletnie niepraktyczny sposób, wzięliśmy ślub.

Czy możecie to sobie wyobrazić: kasjerka w banku, piękna dwudziestotrzyletnia dziewczyna, całuje klienta przez kraty swego okienka? O takich sytuacjach marzy się zawsze, lecz na próżno, w krajach Północy – mnie zaś przytrafiło się to naprawdę. Pocałowaliśmy się i przeżyliśmy chwilę prawdy, jak w biciu dzwonów, jak na korridzie, i potem przez wiele nielawnych lat ta właśnie chwila trzymała nas przy sobie.

Nie pochwalam związków, a co dopiero małżeństw, między ludźmi w tak różnym wieku, lecz nie mogłem się oprzeć i złożyłem jej śluby, na jakie nie zdobyłoby się wielu młodszych mężczyzn – chyba że słabo by siebie znali bądź nosiliby w sercu głęboką ranę. Gdyby wyszła za młodszego mężczyznę,

który nie byłby wcześniej jezuitą lub innym kapłanem, kto wie, jaki spotkałby ją los?

Jako pięćdziesięcioletni byłem szczupły, miałem posturę atlety. Przez następne piętnaście lat odżywiałem się głównie cykorią, tuńczykiem, krewetkami i owocami, nie paliłem, nie piłem i nie brałem narkotyków, grałem diabłu na nosie i nie traciłem siły.

Do trzydziestego roku życia Marlise nawet nie zauważała między nami różnicy wieku. Jeśli już, to w częstotliwości zbliżeń, ale nie w ich halucynacyjnej intensywności. Niedostatek wigoru nadrabiałem wdzięcznością, umiałem też opowiadać. Gdy kończyliśmy, przytulałem ją, jak gdyby zależało od tego moje życie – co zresztą było prawdą.

Gdy Marlise weszła w wiek średni, a ja się zestarzałem, zaczęliśmy krzywo na siebie patrzeć. Ta rudowłosa kasjerka o zachwycających zębach i potężnych piersiach, wciąż jeszcze świetnie wyglądająca w kostiumie kąpielowym, była jak miarowo płonący węgiel – ja zaś przypominałem już raczej popiół na końcu cygara. Zaczęła miewać romanse. Wybaczyłem jej to, wybaczam i dziś, bo dała mi Funia, i choć jest dzieckiem innego mężczyzny, traktuję go jak syna.

Jakieś osiem lat temu wybraliśmy się na poszukiwanie ojca Marlise. Był księdzem, lecz zamiast porzucić kapłaństwo, porzucił swoje dziecko. Zawsze uważałem, że podejmował same złe decyzje. Pierwszą, że przyjął święcenia, drugą, że je złamał, a trzecią, że nie sprzeniewierzył im się do końca.

Na litość boską, czymże są aniołowie? Przecież to był ksiądz, czyli człowiek, którego serce – jak można założyć – rosło podczas kontemplacji aniołów i świętych, gdy więc w jego życiu pojawił się prawdziwy anioł, choćby nawet wskutek jego uchybienia, powinien był go przyjąć. Ja przyjąłem Funia, mimo że nie jest moim synem. Uroniłem jedną łzę, dosłownie jedna tylko łza spłynęła mi po policzku z żalu nad zdradą i własną starością, i zaraz pozwoliłem, by niemowlęcy płacz

na powrót wypełnił mnie życiem. Ale zanedbuję wyprzedzam fakty.

Pojechaliśmy na północ. Brazylia wygląda tam jak Afryka, jest rozległa, sucha, gorąca i biedna. W powietrzu czuć mango, padlinę i morze. Dowiedzieliśmy się, że ojciec Marlise rezyduje w parafii gdzieś w pobliżu Natal, i przez dwa dni wędrowaliśmy tam autobusem, statkiem oraz pieszo. W końcu dotarliśmy do zapomnianego wybrzeża, o które grzmocą wielkie białe bałwany, przepędzone przez olbrzymi Atlantyk aż z Zatoki Beninu. Plaża była długa na trzydzieści mil i na całym odcinku wciniała się w ląd milowym pasem białych wędrujących wydmy, miękkich i suchych jak talk.

Piliśmy wodę z butelek i jedliśmy owoce umyte w falach. Kościół i parafia znajdowały się dwadzieścia mil dalej, w rozległym zakolu rzeki, która przebiega się tam przez wydmy i wpada do morza.

– Jak można się tam dostać? – spytałem w małej wiosce na północny zachód od Natal.

– Piechotą – powiedzieli nam.

– Jakąś drogą?

– Tam nie ma drogi.

– Nie ma drogi?

– Nie.

Ludzie mieszkający na wsi czasem odpowiadają mi bardzo grzecznie, może dlatego że sam wyglądam na wieśniaka, któremu udało się dożyć sędziwego wieku. Zresztą jeśli pola, wśród których się urodziłem, można nazwać wsią – kiedyś można było, teraz już nie – to chyba rzeczywiście jestem wieśniakiem. Zamknąłem jedno oko i odchrząknąłem sceptycznie.

– Nie ma drogi – padła odpowiedź.

– Ale jak oni tam sprzedają swoje plony? Jak dociera poczta, zaopatrzenie?

– Statkiem.

– No to popłyniemy statkiem.

- Jeśli chce wam się czekać sześć tygodni...
- A łodzią rybacką?
- Piechotą zajdziecie dwa razy szybciej, a chodzenie nic nie kosztuje.
- A terenówką?
- Nie ma przejazdu przez rzekę.
- Tratwą?
- Budowa potrwa dwa i pół dnia.
- No to jak przedostaniemy się przez rzekę? – spytałem.
- Przepłyniecie.
- Może czółnem?

Wokół mnie i mojego rozmówcy zgromadziło się już pół wioski. Ujrzałem wtedy więcej bezzębnych ust niż przez wiele ostatnich lat. Wieśniacy byli bardzo ubawieni moją ignorancją.

- Jeśli chcecie, możecie płynąć czółnem, dziadku, ale po drodze i tak będziecie musieli co rusz kąpać się w morzu dla ochłody, nie lepiej więc połączyć jedno z drugim i od razu ruszyć wplaw?

Zdawało nam się, że to tylko taki wymyślny żart, spodziewaliśmy się, że zaraz za wydmami biegnie autostrada, po której kursują klimatyzowane autobusy, lub że natrafimy na jednoszynową kolej szwajcarskiej produkcji, z gratisowymi czekoladkami na siedzeniach. Pomysł dwudziestomilowego marszu przez wydmy spodobał nam się jednak, weszliśmy więc do rzeki, z owocami i butelkami z wodą pływającymi wokół nas w plastikowych siatkach, obserwowani przez całą wioskę.

Gdy wyszliśmy na drugi brzeg, serca nam łomotały, a ubrania mieliśmy odświeżone i przyklepione do ciała. Po kilku minutach marszu wzdłuż rozhukanych, wysokich jak domy fal przyływu znaleźliśmy się na odludziu: do końca dnia nie ujrzelśmy ani żywej duszy, ani śladu ludzkiej działalności.

Oscar Progresso siada codziennie w ogrodzie na szczycie góry (uzbrojony w walthera P88, z którym się nie rozstaje), spogląda na Rio de Janeiro i spisuje swoje wspomnienia, po czym skrętnie upycha je w mrówkoszczelnej kasecie. To, co przeżył, wydaje się nieprawdopodobne: zabójstwo w obronie własnej, pobyt w szpitalu psychiatrycznym, małżeństwo z cudowną milionerką, rozwód z okrutną milionerką, obrabowanie największego banku na świecie, dwukrotne zestrzelenie przez Luftwaffe, rozmowy z papieżem w stylu: „cześć, właśnie się do ciebie wybieraliśmy”, oświadczyły po pięciu minutach znajomości i ślub z trzykrotnie młodszą Brazylijką... Aż trudno uwierzyć, że największy wpływ na życie tego ekscentrycznego Amerykanina miała... kawa, „siła nieczysta”, z którą obsesyjnie walczy.

**Pamiętnik z mrówkoszczelnej kasety jest kpiarski i wzruszający, nostalgiczny i krzepiący, dramatyczny i arcyzabawny – to powieść, od której trudno się oderwać.**

*Cudownie zabawna książka. Prócz Joyce'a i Nabokova mało kto umiał posługiwać się słowem w równie zachwycający sposób.*

„TIME”

*Oszalamiająca, poruszająca, elektryzująca powieść. Przy przygodach Oscara życie każdego zwykłego śmiertelnika musi wydać się nudne. Helprin to znakomity pisarz, pisarz pirotechniczny, pisarz, który obezwładnia czytelnika swym panowaniem nad językiem.*

„SAN FRANCISCO CHRONICLE”



**Mark Helprin** (ur. 1947) – absolwent Harvardu i studiów podyplomowych w Oksfordzie, na Uniwersytecie Princeton i Uniwersytecie Columbia. Publicysta m.in. „New Yorkera” i „New York Timesa”. Za twórczość prozatorską został uhonorowany wieloma nagrodami. Najbardziej znaną książką Helprina jest *Zimowa opowieść* (Wydawnictwo Otwarte, 2014). Inne jego powieści to: *Żołnierz Wielkiej Wojny*, *Refiner's Fire*, *Freddy and Fredericka*, *In Sunlight and in Shadow*.

ISBN 978-83-7515-323-1



9 788375 153231

E-book dostępny na  
**woblink.com**

WYDAWNICTWO  
**otwarte**



lubimyczytać.pl  
Twoja internetowa biblioteczka

**BOOKLIPS.PL** IIIII

Cena detal. 49,90 zł